Józef Popławski

MIŁOŚĆ, SUTANNA I ŚMIERĆ



Historia dwu miłości

Józef Popławski
„Miłość, sutanna i śmierć. Historia dwu miłości. Powieść"

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2015
Copyright © by Józef Popławski, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Tadeusz Szechowski
Korekta: Paulina Jóźwiak

ISBN: 978-83-7900-450-8

Wydawnictwo Psychoskok
ul. Spółdzielców 3/325, 62-507 Konin
tel. 63 242 02 02
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Podziękowania:
Mojej kochanej żonie Stefanii, za wykazaną
cierpliwość i duchowe wsparcie.
Synowi Romualdowi, za krytyczne uwagi,
które uskrzydliły moją wyobraźnię.
Panu Stanisławowi Rakowi, za rady i wskazówki.
Panu Tadeuszowi Szechowskiemu, za graficzne
opracowanie okładek moich książek.

Spis treści

CZĘŚĆ I
Kroniki rodzinne 6
Prolog 6
Siedlisko 8
Sobotowscy 11
Anielka 14
Odmiana miłości 23
Jagodowscy 35
Anastazy 43
Olimpia 46
Kochanek Włodzimierz 51
Konflikt z katechetą 62
W gościnie u Barbary i Walerego w Paryżu 81
Wojna niemiecko-polska 97
I znów w Paryżu 103
Walery i Anastazy w mundurach 105
Zwiedzanie paryskich zabytków 117
Upadek Pięknej Marianny – okupacja 124
Zauroczenie majora i jego śmiertelna żądza 132
Ryzykowna gra Barbary 147
Wątpliwości majora i wsypa 151
Próba gwałtu – dramat Olimpii 156
Olimpia trafia do Résistance 160
W labiryncie katakumb 166
Zbawcze podziemia 177
Uratowana Barbara 184
Na barykadzie Paryża 191
Paryż wolny, powrót Anastazego i Walerego 195

CZĘŚĆ II
W kraju i powrót do Francji 209
Nareszcie w domu 209
Obawy Anastazego – tragedia 216
Realia i codzienność 223
Dylematy Anielki 230
Pierwsze pocałunki 236
Zakup gruntu i dziękczynienie 246
Uduchowieni i romantyczni 258
Na fali pomyślności 264
Przygotowania do wesela Anieli i Marka 270
Szczęście powraca do Olimpii 274
Wiadomości z Paryża 279
Sprawny inwalida 290
Szalone chwile 299

CZĘŚĆ III
Miłość i zdrada 303
Ślub Anielki i Marka 303
Miesiąc miodowy i podróż poślubna 318
Wikary Angelus w sidłach bezpieki 341
Rysy na miłości 381
Na drodze do zdrady 407
Zdrada i śmierć 415
Rozdarte sumienie 429
Zakończenie 444
Od autora 448

Część I

Kroniki rodzinne

Prolog

Wysiedli z pociągu na niewielkiej stacyjce. Pomimo że w ich głowach jeszcze nie ucichł męczący stukot kół rozdygotanego wagonu, to już dopadł ich chłód bardzo wczesnego i jeszcze ciemnego poranka. Odczuli dreszcze, choć Helena odziana była w długi barani kożuch, a na głowie miała chustę, Edward zaś miał na sobie krótki kożuszek, również barani i taką czapkę. Panował tu nadal półmrok, bo na peronie jarzyły się tylko nieliczne lampy. Oboje stali przez chwilę, rozglądając się niepewnie. Następnie powoli, w ślad za kilkoma innymi podróżnymi, niosąc swoje skromne bagaże, skierowali się do wyjścia ze stacji, skąd niepozorna uliczka prowadziła do majaczących nieopodal zabudowań. Ostrożnie wkroczyli w ich mizernie oświetlony wąski labirynt i po przejściu kilkuset metrów znaleźli się na wybrukowanym rynku, w którym zbiegały się najważniejsze ulice mieściny. Zaczęło się rozwidniać i obrysy skromnych budynków stawały się coraz wyraźniejsze, więc Edward już bez większego trudu mógł się zorientować, jaką wybrać trasę i w którą ulicę powinni skręcić. Ruszyli w kierunku zachodnim uliczką o gęstej zabudowie parterowej, lecz gdy minęli zaledwie dwie przecznice, to niespodziewanie szybko pozostawili za sobą ostatnie zabudowania uśpionego jeszcze miasteczka i jakby z zaskoczenia znaleźli się na porośniętym krzakami i niezachęcającym do samotnych wypraw pustkowiu. Poczuli się więc niezbyt pewnie, Helena instynktownie zaczęła przyciskać do piersi umieszczone tam zawiniątko ze znaczną kwotą pieniędzy, Edward zaś upewnił się, że ma ukrytą w zanadrzu finkę. Jeszcze tylko kilometr wędrówki bitą szosą, z coraz bardziej ciążącymi bagażami, a potem ostatnie kilkaset metrów

polną drogę i oczom strudzonych podróżników ukazała się oświetlona wzeszłym już słońcem, w tle dębowego, choć jeszcze bezlistnego zagajnika, mała zagroda. Nieopodal kilka innych domów opierało się o ścianę wysokiego sosnowego boru. Przystanęli, a Edward trochę niepewny reakcji żony zwrócił się do niej z wahaniem w głosie:

– To jest właśnie wieś Świerczyna, a te pierwsze zabudowania – to nasz nabytek i tutaj założymy nasze sady i zbudujemy rodzinne gniazdo.

– Jeszcze nie nabytek, bo resztę należności za gospodarstwo mam tutaj – rzekła ona, wskazując swoje piersi, na których trzymała woreczek z gotówką.

– A to dopiero nastąpi jutro u rejenta – odrzekł.

Z ich przyszłej skromnej posiadłości dochodziło zajadłe szczekanie psa, oni zaś stali nieruchomo, nadal jeszcze przez dłuższą chwilę lustrując okolicę, choć jedynie dla Heleny stanowiła ona nowość, Edward bowiem był tu już przed dwoma tygodniami, aby uiścić zadatek. Jeszcze przez moment tkwili tak w milczeniu, ale na rozjaśnionej twarzy kobiety pojawiła się pewność, że znaleźli swoje miejsce na ziemi.

Siedlisko

Wśród wielu niezwykle zróżnicowanych krain zasiedlonych przez ludzi najliczniej zamieszkałe są te, w których znajdują oni korzystne warunki życia, czyli dające możliwość zaspokojenia swoich podstawowych potrzeb. Już od zamierzchłych czasów wyszukiwano tereny i miejsca, dające względną pewność przeżycia: zapewniające żywność, okrycia i bezpieczeństwo przed dzikimi zwierzętami, a nade wszystko przed obcymi ludźmi, z którymi nierzadko przychodziło krwawo rywalizować o tereny polowań czy o ziemię uprawną. Zatrzymajmy się teraz, czyli kilka wieków później, w jednym z licznych siedlisk leżącym w pobliżu rzeki Warty, tuż przy początkowym biegu Noteci i niedaleko od jeziora Gopła, czasami zwanego „słowiańską wodą pamięci".

Wiosna 1938 roku była łaskawa dla ludu sąplińskiej krainy. Zapomniano już o zimie i radowano się z przetrwania mrozów i zawieruch śnieżnych. Choć nie wszystkie gleby są tu żyzne, to codzienna aura nastrajała nadzieją na pomyślne zasiewy i wiadomo – obiecujące plony, jednak przednówek był w pełni i niektórym rodzinom brzuchy przysychały do pleców. Już od połowy kwietnia wyczuwało się, że w tym roku Bozia zapewni obfitość zbiorów. Jakby na zamówienie noc przynosiła deszcz, a na jej krawędzi pojawiał się brzask słońca, które od wschodu w swej wędrówce po bezchmurnym niebie powoli rozpoczynało swoje królowanie i najpierw delikatnymi promykami pieściło zbocza pagórkowatych pól, a później obdarzało żarem całą równinę tej krainy.

Z każdym dniem słońce raczyło wstawać coraz wcześniej i później zachodzić, tym samym wydłużało pobyt wieśniaków na rozległych zagonach i łąkach, albowiem czas pracy na polu regulowany był zawsze przez jego wschód i zachód, a kończył się dopiero wtedy, gdy znudzone

kilkunastogodzinnym dokuczaniem bożemu ludkowi szykowało się do snu, dając kmieciom znak, aby poszli w te same ślady.

Lecz zanim to się stało, już od wczesnego ranka nasłonecznione połacie okolicznych wiosek, poczynając od Nastronia poprzez Mąklewo oraz Świerczynę i północne przysiółki Sąplina, zaczynały zapełniać rolę – swój warsztat pracy – setki mieszkańców. Wymarsz na pola umilały im zawsze koncerty ptasich chórów zagnieżdżonych na pobliskich drzewach. Godziny pobytu na polu określały im gwizdy ciuchci poruszającej się od wschodu ku zachodowi i w odwrotnym kierunku oraz na północ i z powrotem do Sąplina. Późniejszą wiosną, rankiem, gdy tylko rosa opadła z traw, wyganiano bydło z obór na łąki i przebywało ono tam do końca dnia; południowy udój odbywał się na pastwisku, a zaganiano je na powrót do obór, pojąc uprzednio wodą w ruczaju, gdy przed zachodem słońca, nakarmione – porykiwało, dopominając się wieczornego opróżnienia wymion.

Wczesne lato wysyłało kosiarzy na zielone łąki, aby w znoju uraczyć ich wonią zżętej majowej trawy – przyda się po wysuszeniu na zimę dla bydła. W połowie lata przychodziło im podjąć trud koszenia zbóż i cieszyć się dobrymi lub gorszymi plonami, od wczesnej jesieni zaś, w zamglone poranki, trudzić się im przypadło na zagonach okopowych. I tak to się działo przez trzy pory roku, a wysiłek był spory – w zależności od tego, jak dużym ktoś rozporządzał gruntem lub na czyimś polu wylewał poty.

Jesienne jarmarki były okazją do spieniężenia płodów i dokonania niezbędnych zakupów, następowała tu zamiana żywności na gotówkę, a później gotówki na potrzebne w domu i zagrodzie przedmioty. Pokazanie się w szynku było rytuałem, w którym zacniejsi wieśniacy wyciągali ostentacyjnie z pugilaresów pieniądze, by napić się z dawno niewidzianym kumem, bądź zawrzeć nowe znajomości.

Transakcji handlowych tu nie dokonywano, bo to miejsce godne, zaraz po kościele. A na „ofiarę" i tak należało pozostawić jakieś grosiwo – aby jesienią każdy pleban musiał nosić ciężką tacę.

Okoliczni sadownicy nie rozporządzali w tamtym okresie większymi areałami. Dominowały w sadach, przeważnie nieogrodzonych, drzewa

wysokopienne, ogrodnicy więc miewali w czasie zimy duże kłopoty z obgryzającymi korę zającami. Chociaż pnie, szczególnie drzewek młodych, na długo przed mrozami owijano słomą, to pomimo tego sprytne gryzonie potrafiły dobrać się do kory i narobić szkody. Tak więc już na przedwiośniu miewali pełne ręce roboty, bo przecież należało usunąć z pni słomianą osłonę, następnie pobielić je wapnem, aby coraz wyżej operujące słonko nie przyśpieszyło wegetacji, ale i też odkazić, zabezpieczając drzewo przed insektami. Właściciele mniejszych sadów bardzo często pomiędzy rzędami drzew sadzili kartofle, kapustę, aby w ten sposób pełniej wykorzystać uprawiane grunty, bo liczyły się z tego zyski.

Zanim nastąpiły zmiany cywilizacyjne w małych polskich miasteczkach i wsiach, musiały minąć lata trzydzieste, okres wojny i powojenne piętnastolecie, bo dopiero początek lat sześćdziesiątych inaczej ukierunkował świadomość społeczną. Chociaż nie były to jeszcze łatwe czasy, to jednak zaczęła liczyć się ekonomia, przeto dla ludzi z inicjatywą i pracowitych pojawiła się szansa na lepsze życie. Dla wielu czasy biedy i przedwojennej wegetacji, wojennego koszmaru czy udręki pierwszych lat powojennych stały się już tylko przykrym wspomnieniem, choć wciąż były żywe, zwłaszcza dla starszego pokolenia.

Sobotowscy

Helena – żona Edwarda – była bardzo ładną, sympatyczną i długonogą kobietą, wzrostu około stu sześćdziesięciu centymetrów, o uwydatnionym biuście, szerokich czerwonych ustach, zgrabnym nosku i o przylegających małych uszach. Jej duże niebieskie oczy i kruczoczarne włosy pasowały do śniadej twarzy. Była kobietą o wesołym usposobieniu, co można było wywnioskować po zawsze uśmiechniętej buzi. Cechowała ją duża pracowitość i nawyk do porządku, higieny oraz dokładność. Stanowcza, nierzucająca słów na wiatr. Wyróżniała się też gorliwością religijną, jak przystało na katoliczkę, ale nie przesadnie. Kochała zieleń, kwiaty, lubiła zwierzęta, a koty wprost uwielbiała. Zawsze gotowa była iść z pomocą innym. Ukończyła siedmioklasową szkołę z dobrymi ocenami, na naukę w gimnazjum rodziców stać już nie było. Jej wzorcem była matka. Swojego Edwarda pokochała bardzo, ale zachowując wstrzemięźliwość. Próby swojej wierności przez pierwsze lata małżeństwa nie miała okazji wykazać. Jednym słowem, wzorowa, światła żona, dobrze przygotowana do wydania na świat potomka.

Edward – mąż Heleny – na pierwszy rzut oka wydawał się mężczyzną mało atrakcyjnym dla kobiet, zresztą do tej pory mu na tym nie zależało, miał piękną żonę i to mu wystarczało. Wzrostem sięgającym nieco ponad sto sześćdziesiąt pięć centymetrów nie mógł imponować, ale do ułomków nie należał. Nieco krępawy, o długich ramionach, spracowanych dłoniach, szerokich plecach, blond włosach i silnym ryżawym zaroście na policzkach. Jego typowo męska twarz, ogorzała od ciągłego przebywania na wolnym powietrzu, wyrażała stanowczość i pewność siebie. Niedużymi, piwnymi, świdrującymi oczami więcej dostrzegał, niżby mógł ktoś pomyśleć. Fizjonomia tego mężczyzny znamionowała spokój i opanowanie, choć miewał momenty wesołości, szczególnie wówczas, gdy coś mu się powiodło; jakieś drobne niepowodzenia nie

robiły na nim w ogóle wrażenia. Miał wizję stworzenia czegoś, czym zadziwiłby rodzinę i całe otoczenie, wiedział, że może to być tylko coś z tego, czego się u ojca uczył przez całą młodość – czyli ogrodnictwo.

Oboje przybyli do Świerczyny koło Sąplina jeszcze przed drugą wojną światową, jako młodzi bezdzietni małżonkowie, a każde z nich z zaliczoną kilkuletnią praktyką w rodzicielskich sadach. Kupili od wiekowych mieszkańców tej wioski małe upadające gospodarstwo rolne z niewielkim areałem niezłej ziemi. Od początku ich zamiarem było utworzenie sadu owocowego, a później szkółki drzew, bowiem oboje pochodzili z rodzin ogrodników i mieli w tej dziedzinie spore doświadczenie. Początkowo, aby utrzymać się, uprawiali warzywa, a że ich jakość była o wiele wyższa od produkowanych przez innych w tej okolicy – zbyt mieli zapewniony. W lipcu 1939 roku, podczas usuwania powalonego przez wichurę dużego drzewa, Edward złamał lewą rękę i w związku z tym nie został zmobilizowany we wrześniu na wojnę, gdyż stał się na pewien czas niepełnosprawny. Być może ten przypadek wyznaczył mu inny los w życiu.

Jednak Edward nie zaniedbywał głównego celu, jaki mu przyświecał od początku osiedlenia się w Świerczynie – stworzenia dużego, promieniującego na okolicę ogrodnictwa, więc co roku powiększał połać szkółki drzewek owocowych (a później także ozdobnych) i większą część zysku ze sprzedaży warzyw przeznaczał właśnie na ten cel, bo liczył na to, iż wprowadzenie w okolice Sąplina nowych odmian przyniesie mu znaczne korzyści.

Niepewność bytu – a nawet życia – w okresie okupacji nie dopingowała ich obojga do zdecydowania się na potomka. Jako ludzie rozsądni doszli do wniosku, że dziecko mogłoby być narażone na okropności wojny, o których bardzo dużo wiedzieli, a wynik jej zakończenia był nieznany. Postanowili z tym zaczekać, bo żyjąc spokojnie, mieli szansę na doczekanie wyzwolenia. Jakoż dane im było przeżyć wojnę w spokoju, za co niebu bardzo dziękowali. I gdy wreszcie nadszedł rok 1945, przynosząc wyzwolenie spod niemieckiej okupacji, wstąpił w nich zapał do pracy, jakiego nigdy dotąd nie mieli. Z wojennej przeszłości pozostały im tylko w pamięci obrazy pierwszych dni września oraz pochmurne lata czasu okupacyjnej niewoli.

* * *

Teraz życie zaczęło toczyć się normalnie – ludzie się żenili, rodziły się dzieci, kto mógł – chwytał się jakiegoś zatrudnienia. Wygłodzony i wyniszczony wojną kraj potrzebował żywności. Wzrosło nadzwyczaj na nią zapotrzebowanie, w tym również na warzywa i owoce. Dla rolników i ogrodników zaczęła się pierwsza mała koniunktura. Helena i Edward, oboje w równym wieku dwudziestu siedmiu lat, postanowili już teraz pomyśleć o wydaniu na świat swojego potomka. Zresztą na każdej mszy świętej o tym obowiązku przypominał z ambony w kościele ksiądz proboszcz z pobliskiego Sąplina. A młodych nie trzeba było wiele do tego zachęcać, wypoczęci po stosunkowo leniwie spędzonym grudniu i styczniu, nabrali teraz ochoty do baraszkowania. Edmund stał się teraz nadzwyczaj przymilny i kochliwy jak amant z filmu o miłości. Jego intensywność spowolniła się w połowie lutego – wiadomo pierwsze po zimie prace w ogrodzie. Trwało ono jednak nadal, ale czynione z mniejszym już zapałem, przez następny prawie miesiąc. Na początku marca okazało się, iż Helena jest w stanie błogosławionym. Radość obojga była ogromna, ale zdawali sobie sprawę z tego, iż teraz ona musi ograniczyć wysiłek fizyczny z obawy przed poronieniem, a na Edmunda spadną dodatkowe obowiązki. Szczęśliwy przyszły ojciec w skryciu ducha marzył, aby urodził się syn – przecież o następcy gospodarz myśli wcześniej. Ale to nastąpi dopiero za osiem miesięcy, teraz jest szczęśliwy z dokonanego zasiewu i wierzy, iż owocem ich miłości będzie upragniony przez niego potomek.

Pozostałe miesiące roku 1945 spędzali na bardzo intensywnej pracy. Wiosna nie żałowała im wysiłku i trosk. Postanowili, że na razie podstawą ich produkcji nadal będą popularne odmiany warzyw, ale w bogatszym asortymencie i na większą skalę, co pozwoli im na zbyt w ościennych miastach powiatowych, bo tam uzyskać można wyższe ceny. W sumie rok zakończyli z wyraźnym zyskiem.

Anielka

Zapracowani nie zauważyli, jak szybko zbliżał się rok 1946 – był już koniec grudnia i do rozwiązania Helenie pozostało najwyżej kilkanaście dni. Niebawem Boże Narodzenie i przybysz tuż, tuż. Niecierpliwość rosła. Poród miał nastąpić w domu, więc akuszerkę zamówiono już dużo wcześniej i przygotowano małą dwukołową bryczkę, aby w odpowiednim czasie przywieźć ją z Sąplina.

Piąty stycznia 1946 roku – północ. Helena zaczęła odczuwać pierwsze bóle, więc przyszła jej sąsiadka i tak, jak było umówione wcześniej, przygotowała kociołek gorącej wody. Bóle trwają następne dwie godziny i są coraz silniejsze, więc przywieziono akuszerkę. Jeszcze tylko kolejne dwie godziny i następuje poród. Edward w tym czasie przebywa w sąsiedniej izbie i zdenerwowanie uśmierza odrobiną alkoholu. Jest godzina czwarta rano i na świecie zjawia się nowa istotka. Do zniecierpliwionego Edwarda dolatuje głos akuszerki:

– Jest! Jeeest!!!

Wpada, więc do sypialni i widzi: akuszerka trzyma na rękach niemowlę.

– Jest pan ojcem ślicznej dziewczynki! – i tu okazuje mu „dowód rzeczowy".

Tylko przez moment krył niedowierzanie, po czym podszedł do Heleny i ucałował ją lekko w policzek, nie tając wcale wzruszenia. Popatrzył też takim samym wzrokiem na owoc ich miłości i łzy popłynęły mu ciurkiem po twarzy.

– Ja też chciałam… – nie dokończyła i w jej oczach także zabłysły łzy.

Ucałował ją po raz wtóry.

– Tyle dzieci odbierałam, ale tak ślicznej dziewczynki jeszcze nigdy dotąd.

Akuszerka – pani Peńska jeszcze przez kilka dni zjawiała się w domu Sobotowskich, aby dokonać pierwszych zabiegów pielęgnacyjnych

i młodej mamie udzielać fachowych porad. Szczęśliwym rodzicom szybko mijały dni i tygodnie, mała rosła jak na drożdżach i była coraz rozkoszniejsza. Teraz w okresie zimy Edward nie miał zbyt wiele zajęć, więc całymi godzinami przesiadywał przy łóżeczku córki, nie spuszczając z niej oka. I jak roślinka posadzona w żyznej glebie rozpoczyna po wzejściu swoją wegetację, głaskana promykami słonka, podlewana wiosennym deszczykiem, pnie się coraz wyżej i staje się coraz dorodniejsza – tak i Anielka rosła w oczach. Była dzieckiem bardzo spokojnym, rzadko kiedy słyszało się jej płacz. Jak każde maleństwo dużo sypiała, otwierała oczka tylko na posiłek i z każdym tygodniem stawała się żywsza, a jej blond włoski zaczynały wić się w śliczne loki.

W Wielkanoc 1946 roku dziecko miało już trzy i pół miesiąca i drugiego dnia tych świąt odbył się chrzest, na którym potwierdzono imię – Aniela. Przygotowana z tej okazji uczta była w miarę podniosła i z obfitym poczęstunkiem – wszak to chrzciny w rodzinie przecież nie tak dawno przybyłej w te strony, tym niemniej już zauważalnej przez miejscowych oraz ocenianej jako pracowita i godna szacunku.

Lato zwykle upływało na intensywnej pracy w ogrodach, tymczasem Helena zajęta dzieckiem niewiele Edwardowi mogła pomóc, postanowiono więc przyjąć pomocnika do prac ogrodowych. Chociaż zaraz po wojnie pracy nikomu nie brakowało, to jednak tu na miejscu zbyt wiele jej nie było. Zamiast szukać lepiej płatnej, gdzieś w sąsiednich większych miejscowościach i tracić czas na przejazdy, wielu ludziom bardziej opłacało się robić coś na miejscu, wprawdzie na niezbyt atrakcyjnych warunkach, ale za to blisko domu. W tej sytuacji panu Edwardowi udało się pozyskać pracowitego robotnika rolnego z pobliskiego Janówka, jak się później okazało solidnego człowieka – Walerego Dzierżonia. Po jakimś czasie pomyślnie układające się sprawy pozwoliły na zatrudnienie dorywczo przy uprawach i pielęgnacji warzyw oraz kwiatów jeszcze dwóch kobiet, więc ogrodnictwo nabierało rozmachu. Zyski wzrastały, chociaż dużą ich część gospodarz przeznaczał na zakup nowych odmian drzew, krzewów i kwiatów. Wypadało teraz znacznie powiększyć powierzchnię upraw sadzonek poprzez zakup ziemi i ogrodzić plantację drzewek owocowych.

Pozostał też do rozwiązania problem nawodnienia upraw, niełatwy w tym przypadku, bowiem na zakupionych połaciach wody gruntowe na ogół zalegały dość głęboko, a tylko w niektórych miejscach pojawiały się one płycej i wobec tego wykonanie kilku studni byłoby stosunkowo drogie, ale i tak niezbędne. Zaczął zatem Edward ukierunkowywać się na rośliny odporne na suszę. Siłą rzeczy powstała potrzeba, by sięgnąć po fundusze z banku, albowiem zgromadzony kapitał własny tylko w niewielkiej części mógł być przeznaczony na inwestycje w większości wydatkowany być musiał na bieżące utrzymania firmy i rodziny.

Jednakowoż Edward poradził sobie jakoś z tym kłopotem, bowiem cieszył się poważaniem w kręgu ludzi mających coś do powiedzenia w sprawach finansowych, przeto nie odmawiano mu pożyczek, chociaż zaciągał je bez entuzjazmu, bo wiedział, iż pożycza się cudze, a oddaje się swoje. Czas upływał szybko, a wrodzona zdolność właściciela do interesów doprowadziła do powiększenia majątku tak, że po upływie czterech lat ogrodnictwo pana Sobotowskiego znane już było daleko poza Sąplinem.

* * *

W tym okresie mała Anielka – oczko w głowie, pieszczona, kochana przez rodziców, spędzała każdy pogodny dzień w przydomowym ogródku, zasypiając smacznie w ładnym, wygodnym wózeczku. Z każdym miesiącem stawała się coraz bardziej rozkoszna i gdy tylko potrafiła usiąść, zaraz żądała, aby podwozić ją tym wózkiem do najbliższych kwiatów. A było ich tu mnóstwo, bo specjalnie dla niej tatuś urządził w przydomowym ogródku małą galerię krzewów i kwiatów ozdobnych, umieszczając je na niedużym klombie i wysadzając innymi gatunkami krawędzie ścieżek.

Glebę pod te rośliny przygotował jeszcze jesienią 1944 roku. W większości królowały tutaj tulipany, było też kilkanaście krzewów róży. Z każdym więc rokiem otoczenie domu stawało się ładniejsze. Jeszcze na początku roku 1945 zmodernizował stary budynek gospodarczy, jego

część adaptując na stajnię dla wcześniej zakupionego konika, niezbędnego jako siła pociągowa przy uprawie sadu oraz później, jako zaprzęg dwukołowej bryczuszki.

Mijały lata, nastał rok 1950. Anielka miała już cztery latka i każdej niedzieli jeździła z rodzicami do kościoła w Sąplinie lub w Lubiczowie, dokąd było nieco dalej, ale za to droga wiodła przez urokliwe lasy, co dziewczynka uwielbiała. Pierwsze nauki o Bozi i paciorki otrzymała od mamy i już w początkowych latach swego życia oznaczała się nabożnością. Kiedyś Edward zapytał ją tak, aby słyszała to Helena, czy chciałaby mieć braciszka, odpowiedziała twierdząco i później przy każdej okazji przypominała o tym ojcu. Upłynęły kolejne dwa lata, w czasie których Anielka wciąż spoglądała w niebo za bocianem, lecz ten, chociaż czasem krążył nad ich domem, to jednak braciszka nie przynosił. Nastał rok 1952 Anielka skończyła już sześć latek i teraz było już wyraźnie widać jej nieprzeciętną urodę. Główka pokryta blond włoskami z naturalnymi loczkami, duże niebieskie oczka, mały zgrabniutki nosek. To był prawdziwy kwiatuszek, i gdyby się go postawiło na klombie, zaćmiłby swoją urodą wszystkie inne, które tam rosły. Za rok miała iść do szkoły, więc rodzice już ją do tego przygotowywali – do oglądania otrzymała bajeczki i elementarz. Bardzo szybko poznała cały alfabet, a po upływie półrocza samodzielnie czytała. Jednak Edward był niepocieszony brakiem męskiego potomka i stał się mniej czuły na wdzięki swojej połowicy, większość czasu przeznaczając na zwykłe prace w ich posiadłości, stając się zamknięty w sobie i nie wiadomo do kogo, mając żal.

* * *

Miewał więc często chwile zwątpienia w celowość wkładanego wysiłku, bo przecież córka to nie to, co syn. Nieraz nachodziły go myśli: *Prędzej czy później przyjdzie zięć i wszystko to, co on – Sobotowski – zbudował przez lata własnym wysiłkiem, trafi pod inne nazwisko. I dobrze będzie, jeśli tego majątku nie zmarnuje, czy wręcz nie przehula, bo przecież tyle jest przykładów takich właśnie zachowań. I cóż po nim – pracowitym*

Edwardzie pozostanie? Chyba tylko grób na sąplińskim albo lubiczowskim cmentarzu. Czy warto ryć całymi dniami w tym ogrodnictwie? Odmawiać sobie jakiejś przyjemności? E… cholera z takim życiem. A może wyskoczyć gdzieś na popijawę? Może pohulać, spić się wódą, oderwać się od codziennych zajęć? Przecież współżycie z Heleną zaczynało robić się trudne, bo go nie potrafiła zrozumieć i celowo omijała kolejne poczęcie – być może syna.

A teraz jeszcze ten cholerny podatek nałożony przez wydział finansowy z powiatu. Jakiś tam „domiar". A niech ich tam szlag trafi! Trzy i pół tysiąca za rok ubiegły to kwota, która nie powali go na kolana, ale czysta gotówka, która przydałaby się do budowy nawodnienia. Trzeba się odwoływać od takiej decyzji. Wprawdzie ubiegły rok był dla niego pomyślny, bo znaczącą większość jego produkcji sprzedawał w nowo powstałej spółdzielni ogrodniczej. Należność przekazywano na jego konto w banku. To ułatwiało mu otrzymywanie kredytów, ale pożycza się cudze, a oddaje swoje… – i tu się zamyślił się chwilę, przypominając sobie to nurtujące go zawsze powiedzenie. – *A niech to diabli. Co ma być, to będzie – wszystko w rękach Boga. Ale jednak warto życie trochę sobie uprzyjemnić, harówa i harówa, to nie ma sensu na dłuższą metę.*

Pod koniec przedostatniego tygodnia sierpnia przypadał termin spłaty kolejnej raty zaciągniętego kredytu. W międzyczasie „domiar" zmniejszono mu do jednego tysiąca złotych, więc zabrał przygotowaną gotówkę i rowerem, a nie jak zwykle dwukółką, udał się do banku w Sąplinie, by uregulować obie należności. Czynność wpłaty trwała króciutko, dlatego szybko opuścił bank z zamiarem udania się na zakupy partii nasion oraz kilku drobnych narzędzi w sklepie „żelaznym", jak tu się mówiło o miejscu zakupów artykułów do produkcji rolnej.

Choć już było popołudnie, to jednak słońce jeszcze dobrze grzało, więc przechodząc obok restauracji pani Serbowiczowej, istniejącej przy wylocie ulicy Południowej z Placu Styczniowego, pomyślał, czy aby wejść tam na chwilę i napić się zimnej lemoniady. Co prawda, reputacja tego lokalu nie była kryształowa, ale do znajdującej się po przeciwnej stronie placu solidnej jadłodajni babci Puszczynowskiej musiałby się wlec na skos przez plac rynkowy po ogromnych kocich łbach, z leżącymi wokół

furmanek końskimi odchodami. Nie było mu to wcale po drodze i nie miał też na sobie odpowiedniego stroju, aby tam wchodzić. Poza tym w rynku stały jeszcze liczne furmanki, których woźnice biesiadowali w szynkach, a ich synalkowie – podroślaki – w tym czasie pilnowali wozów i koni, czekając zaś na powrót ojców, często z braku innych możliwości obsikiwali osie kół swoich wozów. Nie namyślając się długo, wszedł do knajpki i z miejsca uderzyły go opary wódki i ostra woń piwska. Zgiełk, powstający podczas prowadzenia dysput przez podpitych kmieci, był tak głośny, że prawie nie słychać było grającego radioodbiornika. Oba pomieszczenia zasnute były gęstym, gryzącym płuca dymem machorki, bo o tej porze dnia w targowe czwartki obie sale „U Pani Serbowiczowej" były zapełnione rolnikami przybyłymi z okolicznych wiosek.

Kręciło się tu także kilku miejscowych chudopachołków polujących na „jelenia", czyli na darmową wypitkę, więc w pierwszej chwili chciał się wycofać, ale ktoś obserwujący go już od wejścia skinął przyjaźnie ręką, zapraszając do czteromiejscowego stolika, zajętego w tej chwili przez dwóch gości. Jeden z nich był mu dobrze znanym uczciwym straganiarzem owocowo-warzywnym i jego klientem. Drugiego znał z widzenia i ten przedstawił się, jako Stefan Schyłko. Przysiadł się do nich bez specjalnej ochoty; na stole mieli opróżnioną do połowy półlitrową butelkę wódki z niebieską kartką[1] i po śledziu na zagryzkę oraz jedną niepełną butelkę lemoniady. Byli już nieco pod humorkiem, więc z miejsca bardzo ochoczo przystąpili do rozmowy.

Edward czuł się tu jednak tak, jakby siedział na szpilkach i rozmowy współbiesiadników na razie przyjmował jednym, a wypuszczał drugim uchem, przypatrując się za to dokładnie kmieciom pijącym gorzałę pełnymi szklankami z litrowych flaszek. Czasem jakiś dobrze podchmielony wieśniak zza pazuchy wyjmował gruby pugilares i ostentacyjnie go otwierając, potrząsał zwitkiem banknotów, wzywając kelnerkę, by przyjęła kolejne zamówienie. Gdy biesiadował razem ze swoją połowicą, ta go z miejsca strofowała:

1 W owych czasach polską wódkę oznaczano nalepkami – czerwoną i niebieską. Ta pierwsza, zwana też „strażacką", była lepszej jakości – obie zaś podobnej mocy.

– Adyć schowej te piniądze, przecież tu sum różne ludziska, chcesz jak bydzim wrocali, aby nos napadli zbóje? – dotarło poprzez gwar do uszu Edwarda.

W samej rzeczy, cichutko siedząc w kącie Sali, dwójka „obcych", sącząc z wolna lemoniadę, przyglądała się takim „bogaczom". To był swoisty zwiad, zresztą kręcili się tacy także po świńskim placu targowym, bacząc jaką zwierzynę i za ile rolnik sprzedaje. A gdy chłopkowi biesiadować wypadnie do zmroku i pijany powracać przez las będzie, zostanie przez takich „obrobiony". To był proceder znany jeszcze z lat rozbiorowych, szczególnie w zaborze carskim i obok nocnej kradzieży koni ze stajni dość powszechny. Tradycja ta z pominięciem okresu okupacji odżyła w pierwszych latach powojennych, głównie wskutek łatwego dostępu do broni palnej i przybrała zorganizowane formy napastnicze. Bandyci najczęściej podszywali się pod antyrządowe bojowe organizacje polityczne, a dla uwiarygodnienia swojego „patriotyzmu" nosili czapki rogatywki z orzełkami w koronie. Faktycznie, niektórzy z nich kontynuowali tradycje swoich ojców lub dziadów. Młodzi wstępowali do takich „formacji", chcąc uniknąć w ten sposób powołania do odbycia służby wojskowej. Lecz zakres ich działań poszerzony został w stosunku do swoich przodków o rabowanie gotówki z małych wiejskich sklepików spółdzielczych lub niedużych agencji pocztowych. Nie gardzili także „obrabianiem" właścicieli drobnych firm i kasjerów punktów skupu zwierząt, szczególnie zanim rozpoczął się jarmarczny handel i kasa była pełna. Na skinienie straganiarza podeszła kelnerka i Edward poprosił o swój napój, otrzymał go już po minucie, postawiła też przed nim szklaneczkę. Opróżnił natychmiast prawie całą zawartość butelki, po czym lekko westchnął, obrzucając wzrokiem całą salę. Do jego uszu zaczęły dolatywać fragmenty różnych rozmów prowadzonych przy sąsiednich stolikach, niektórych wręcz ordynarnych. Nie przywykły do takiego słownictwa, poczuł się nieswojo i ponownie powróciła w nim chęć opuszczenia restauracji. Akurat w tym momencie zagadnął go straganiarz na temat urodzaju oraz przewidywanego poziomu cen warzyw i jesiennych owoców. Powoli rozmowa zaczynała się rozkręcać i w końcu weszła na tematy bardziej osobiste, aby za moment zahaczyć o kobiety.

– No panie Edwardzie! Machnij pan jednego – powiedział straganiarz, nalewając „rozmowną" do szklaneczki swojego gościa.

– Oj, dziękuję nie mogę wypić, bo jeszcze muszę wskoczyć do „żelaznego"[2] – odpowiedział.

– Niech pan nie gardzi i zrobi nam przyjemność, wypijając z nami kielicha – odpowiedział teraz Stefan. – Przecież jeden panu nie zaszkodzi – nalegał.

– No to dobrze, niech będzie ten jeden – więc najlepszego!

I cała trójka wychyliła jednocześnie. Popili toast lemoniadą, zakąsili kawałkiem śledzia i jak by z ulgą spojrzeli na siebie. Przez chwilę się nie odzywali, a pan Marian w tym czasie wyjął z kieszeni marynarki zagraniczne papierosy i próbował częstować obu, ale oni – jako niepalący – odmówili. Edward po małej chwili poczuł się znacznie żywszy, trunek zaczął działać, znużenie znikło, wydawało mu się, że jest zdrowszy, toteż już nie protestował, gdy mu dolewano do kielicha z tego, co jeszcze pozostało w butelce. Kolejny toast wychylił już bez oporu i po chwili poczuł się, że dopiero teraz żyje. Nie pił alkoholu od długiego już czasu, dlatego teraz po spożyciu tej przecież niewielkiej ilości nastąpiła taka reakcja. Straganiarz tymczasem podszedł do bufetu i uregulowawszy należność za trunek, udał się do swojego domu, żegnając się przedtem z zamroczonymi Edwardem i Stefanem. Po kilku minutach do ich stolika przysiadł się jakiś nowy przybysz. Stefek przedstawił go jako Mariana, ten zaś bezceremonialnie postawił na stole ćwiartkową butelkę i jak stary znajomy zaczął witać się z oboma. Gdyby Edward był całkiem trzeźwy, pewnie zauważyłby, że patronem tamtego jest Mat Talbot[3], już choćby sądząc po jego sznapsbarytonie. Przybysz aż nadto wyglądał na spitego, aby tego nie zauważyć. Jako kumpel Stefana miał więc śmiałość do takiego zachowania. Tę ćwiarteczkę wypili szybko, a Edward poczuł teraz jeszcze większą chęć na wypitkę i zamówił w bufecie pół litra z czerwoną kartką (nazywaną tu „strażacką") oraz

2 Sklep „żelazny" – oferujący narzędzia do uprawy roli i także nasiona.

3 Mat Talbot – irlandzki kandydat na świętego, który przez szesnaście lat pił bez przerwy i chyba przez czterdzieści jeden pokutował.

porządną zakąskę. Zapłacił z miejsca pieniędzmi przeznaczonymi na zakupy w sklepie żelaznym. Pomiędzy całą trójką wywiązała się ożywiona rozmowa i chociaż po obaleniu tej butelki zaczynali okropnie bełkotać, to jednak bez trudu potrafili się porozumieć. W każdym razie ustalili, iż pojutrze spotkają się tutaj ponownie, a Marian zorganizuje Edziowi fajną dziewuchę. I na tym sprawa stanęła…